

Kozioł ofiarny



GABRIELA ZAPOLSKA

MENAŻERIA LUDZKA

Koziół ofiarny

Pan Wentzel zmarszczył brwi i położył kanciastą linię obok siebie.

— Proszę o spokój! — wyrzekł ochrypłym głosem.

— Oko brandenburskie! — odpowiedział natychmiast Julusiek.

— Z perską żrenicą — dorzucił Marian, pakując ręce w kieszenie od spodni.

Pan Wentzel podniósł swą spiczastą głowę, pokrytą najeżonym włosom, i spojrzał na porozkładane na krzesłach dzieci.

— Proszę o spokój! — powtórzył, a wargi wybladłych ust drżały mu jak w febrze.

— Patrzcie... panu „Wentzlemu” spuchła z lewej strony twarz — zawołał Julusiek, mrużąc powieki.

— To od tych papierosów, które po kryjomu pali, a nam nawet zaciągnąć się nie da — odparł flegmatycznie Marian, obserwując z ironią wychudłe policzki nauczyciela.

Panu Wentzlowi krew uderzyła do głowy.

— Nie palę papierosów — wyrzekł energicznie — nie wmawiajcie we mnie złych czynów, które sami spełniacie.

Julusiek wzruszył ramionami. Marian wpakował ręce jeszcze głębiej w kieszenie.

— Nie palisz pan? — zapytał, wydymając czerwone i pełne policzki. — Phi!... to taka prawda, jak to, że pan atramentem dziur w butach sobie nie czernisz... Zaprzecz pan temu!

— Zaprzecz pan temu! — zaskrzeczał, jak mały psiak, Julusiek i w ekstazie triumfu usiadł na stole, gdy tymczasem Marian wciąż kołysał się na krześle, patrząc spod oka na nauczyciela.

Pan Wentzel był przybity.

Rzeczywiście, nie dalej jak wczoraj smarował rano bielące się wśród czarnej skóry butów skarpetki... smarował atramentem, aby nie przeświecały zanadto, gdy wejdzie do sali jadalnej lub salonu.

Milcząc ujął w rękę jedną z ciemnooprawnych książek, których stopy leżały na stole.

— Zaczniemy wykłady od *Historii świętej* — rzekł cichym głosem.

Lecz Julusiek pragnął nasycić się swym triumfem i cały włożył na stół, strącając zabłocnymi nogami książki i zeszyty na ziemię.

— Wziąłeś pan patyk... o, tak!... Umaczałeś pan w atramencie i smarowałeś pan buty...

Pan Wentzel pobladł jeszcze bardziej.

— Proszę zleźć ze stołu i usiąść przyzwoicie, inaczej przerwę lekcję...

— Wielka będzie szkoda... — mruknął Marian.

Julusiek odsunął się trochę i podwinął nogi pod siebie.

— Jedź pan — wyrzekł — mnie to nie przeszkadza, ja i tak mogę pańskiego bajdu-rzenia słuchać.

Pan Wentzel otworzył książkę i powoli zaczął przewracać kartki ozdobione rycinami.

— Skończyliśmy na Samsonie i ucięciu włosów — zaczął polykając ślinę — wiecie, że uczyniła to Dalila i...

Na twarzach chłopców pojawił się dziwny wyraz.

— Musiała to być szykowna kobieta — mruknął Julusiek, uśmiechając się rozkosznie.

— Prawda, Marian?

Lecz Marian zwrócił się teraz ku panu Wentzlowi i patrząc wprost na twarz nauczyciela — zapytał.

— Jak pan sądzi? Brunetka była? Co?

— Nie wiem! — odparł nauczyciel.

— Daj pokój, Marianie!... — wrzasnął Julusiek. — Albo on się zna na tym!

— Hm!... — odrzekł Marian — jest przecież mężczyzną.

— E! Taki tam! Boże się zmiłuj!...

Pan Wentzel zerwał się z miejsca.

— Cicho! — krzyknął uderzając książką o stół. — Cicho!... bo...

Głos uwiązał mu w gardle.

Marian i Julusiek, mrużąc oczy, przypatrywali mu się impertynencko.

Tyle ironii mieściło się w wyrazie twarzy tych przedwcześnie rozwiniętych dzieci, że nauczyciel najczęściej czuł swą sztuczną energię jakby zmrożoną i w głębi serca doznawał dziwnego ścśnienia, które mu dotkliwy ból sprawiało. Czuł swą bezsilność i milknął polykając łzy i upokorzenie.

Tych dwóch malców w kraciastych kurtkach, nie dorastających mu do nosa, tyranizowało go i kark mu do ziemi chyliło.

Co począć miał?

Podszedł do okna i machinalnie otworzył lufcik. Świeże wiosenne powietrze wpłynęło nagle do pokoju...

Wentzel cofnął się od okna, jakby nagle upojony...

Przymknął oczy i stał tak blady, nędzny w smudze świetlanej, która kładła żółte i białe tony na twarz jego znędzniałą.

— Może byś pan kończył lekcję!... — odezwał się nagle Marian, znudzony milczeniem nauczyciela.

— To się wie — dorzucił Julusiek — pan zbijasz łąki jak jaki radca. Nic pan w lufciku nie wystoisz! Jeszcze panu oko spuchnie! — Pan Wentzel powoli odwrócił się i zbliżył się do stołu. Na twarzy jego malowała się smutna rezygnacja. Usiadł na krześle i unikając spojrzenia w twarze chłopców, rozpoczął wykład:

— Wiecie, że Samson był bardzo silny, wiecie, że gdy oparł się o kolumny świątyni, ramionami wstrząsnął, kolumny w gruzy się rozsypały i dach cały runął...

— Albo to prawda — przerwał Julusiek uśmiechając się sceptycznie.

Marian poprzestał na ironicznym wzruszeniu ramionami.

Pan Wentzel ciągnął dalej:

— Dach cały runął, przygniatając zgromadzone tłumy. W ten sposób więc nieprzyjaciele Samsona...

— E, to taka prawda jak to, że Ewa jabłko zjadła... — przerwał znów Julusiek.

— Pokonani zostali... — brzmiał głos nauczyciela.

Teraz Marian poruszył się na krześle.

— A Adam ogryzkiem się udławił... — wyrzekł śpiewającym głosem.

— I gdyby nie Dalila, która...

Lecz już słowa pana Wentzla brzmiały jedynie chyba dla niego samego. Dzieci, pobudzone w swej przekornej wesołości, jak piłkę odrzucały sobie wzajemnie legendy, podawane im przez nauczyciela za fakt. Dla nich, dla tych rozbudzonych przedwcześnie umysłów, nie istniał już żaden urok naiwnej wiary — ze śmiechem i drwinami szarpali treść *Pisma*, nie mogąc jeszcze zrozumieć przenośni.

Pod gradem tych słów wyziewanych przez drobne, dziecięce usta, które zda się stworzone były do szeptania modlitwy, pan Wentzel siedział przybity, bezsilny, z głową na piersi zwieszoną. Codziennie powtarzało się to samo.

Codziennie nauczyciel i jego słowa były przedmiotem szyderstw, żartów i śmiechu.

Julusiek leżał już teraz na stole, wywijając z radości nogami, Marian napawał się spokojnym triumfem i pełen nieopisanej błogości wydymał usta do niebywałych rozmiarów.

— Jak tam było z tym Noem? Opowiedz pan, panie Wentzel!

— Albo z tym Dawidem!

— A Zuzanna? Co?...

Plómienie przebiegały zmysłową twarz Mariana.

— Tak! Tak!... Zuzanna!... To pyszny kawał!...
I nagle, ni stąd, ni zowąd, rozlega się z piersi dzieci wrzaskliwy śpiew:

Hopsztynder!... Madaliński
Fiuta!... z kopyta!...
Szara, ciach, ciach! Tańczy sobie
Z Barabaszem mazura!...

— Proszę o spokój!... — jęczy błagalnie pan Wentzel.

Hej kołęda!... kołęda!...
Podobał się Jewie! Jeździ na cholewie,
A boso go znać!... znać!... znać!...

Pan Wentzel głowę ukrył w dłonie.

A boso go znać!...

Lecz nagle drzwi się otwierają i dwie postacie kobiece ukazują się w progu.

— Co się tu dzieje? — pyta pani domu, chuda, płaska blondynka, nosząca na schy-
lonych ramionach faldziste szaty wdowie.

— *C'est atroce!*¹ — odzywa się druga, odpinając żwawo guziki zniszczonego płasz-
czyka.

— Panie Wentzel, jak pan możesz pozwolić na coś podobnego?!

Pan Wentzel powstał już z krzesła i w milczeniu układa książki i zeszyty. Czuje, że
wszystko, co powie na swoje usprawiedliwienie, na nic się nie przyda.

W przekonaniu matki „dzieci” są trochę rozpuszczone, ale ostatecznie można na nich
lekarstwo znaleźć i do posłuszeństwa doprowadzić.

Wprawdzie ona sama nigdy dokazać tej sztuki nie mogła, ale... przecież... pan Wentzel
jest mężczyzną! Powinien umieć nakazać szacunek dla swoich słów i osoby.

Więc — słodkokwaśnym głosem mówi to wszystko, a słowa jej jak uderzenia bicz
smagają zboliałą głowę nauczyciela.

Tak! Tak!... Pani ma zapewne rację — każdy inny na jego miejscu poradziłby sobie
z pewnością, tylko on! On! Nie wie, nie umie poskromić swych uczniów, nakazać ciszę
i potrzebny spokój.

— Uważasz pan... — ciągnie dalej pani Szymczyńska, a głos jej płynie łagodnie jak
szmer strumyka — Julusiek i Marian są dzieci wyjątkowe, należy więc z nimi postępować
w wyjątkowy sposób. Tymczasem pan!

Wyjątkowe dzieci z niezrównaną ironią spoglądają na pana Wentzla, który zmieszany,
drżący, sploniony, szorując nogami po podłodze, ustępuje przy stole miejsca guwernantce,
która — wytarty płaszczyk ostrożnie na łóżku Juliusia złożywszy — przystępuje do krzesła
z bardzo wojowniczą miną.

Matka tymczasem zachwyconym wzrokiem ogarnia pełne policzki Mariana i żółtą
głowę Juluśka, który zdecydował się wreszcie zsunąć ze stołu i usiąść na poręczy krzesła.

— Tak! Tak! Wyjątkowe dzieci! — powtarza machinalnie i po bladych jej ustach
przebiega uśmiech zadowolonej macierzyńskiej próżności.

Pan Wentzel pochyla pokornie głowę i odwróciwszy się, drżącymi rękami szuka w pu-
delku, zastępującym mu szafę, czystej chustki i swej wytartej portmonetki. Pudełko to
stoi pod jego łóżkiem, biednym, smutnym posłaniem opuszczonego wyrobnika, narzuco-
nym dla *decorum*² szafirową kapą, stanowiącą własność pani domu, którą skromny kocyk
biednego chłopca raził i harmonię przyzwoitego umeblowania dzieciennego pokoju psuł
zupełnie.

W pudełku — pan Wentzel nie znajduje chustki, ale za to wydostaje zdechłą mysz,
uczepioną przy zameczku portmonetki, w której kilka miedziaków się kołacze. Jest to

¹*C'est atroce* (fr.) — to okropne. [przypis edytorski]

²*decorum* (z łac.) — ozdobność, powaga, także: wysłowienie a. styl właściwe dla tematu. [przypis edytorski]

sprawka „wyjątkowych” dzieci, które duszą się ze śmiechu na widok bladości pokrywającej nagle twarz pana Wentzla.

Wiedzą o tym, że pan Wentzel boi się konwulsyjnie myszy, i udanie się rozkosznego figla uczuciem błogim napelnia ich serduszka.

Lecz siedząca przy stole Francuzka marszczy brwi i groźnie, podniósłszy rękę do góry, woła ochryplym głosem:

— *Attention, sales gamins! Ou je vais vous ficher des claques*³!

Chłopcy milkną i kołyszą się na krzesłach z mniejszym niż zwykle zapalem. Matka zaś przesyła dyskretny półśmieszek w stronę Francuzki, która prześlicznym żargonem z Montmartre rozpoczyna wykład greckiej mitologii.

I powoli fałdzista suknia matki-wdowy znika we drzwiach, spoza których dolatuje wystukiwane na fortepianie jakieś *Rêverie* Aschera.

Pan Wentzel tymczasem szamocze się ze zdechłą myszą, starając się odczepić ją od portmonetki. Pot pokrywa mu skronie, wyraz wstrętu maluje się w jego smutnych, wielkich oczach.

Trwa to długą chwilę — dzieci ciągle spod oka obserwują nauczyciela, triumfują wewnątrz.

Wreszcie Julusiek dłużej wytrzymać nie jest w stanie.

— To ci pan Wentzel zdesenia!... — woła podrywając się na krześle.

— Jak karaluch w tataraku!... — dorzuca śpiewająco Marian.

Lecz Francuzka uderzeniem pięścią w stół przerywa wybuchy radości miłych chłopczyków.

— *Taisez ous, tas des salauds*⁴! — I nagle sięgając do bocznej kieszeni sukni, wydobywa dość duży rewolwer, którego otwory pozaklejane są umiejętnie kulkami z chleba.

— No! — mówi kładąc rewolwer na stole — *j'espère, que vous allez vous tenir tranquilles... autrement — je tire*⁵!...

I dalej ciągnęła wykład przy wzorowej ciszy ze strony obu chłopców, po których twarzach przemknął nawet cień szacunku.

Pan Wentzel tymczasem uporał się z myszą i wzięwszy ze stolika wytarty i zrudziały kapelusz, gotował się do wyjścia. Z rodzajem zazdrości spojrział na zniszczoną twarz Francuzki i na leżący na stole rewolwer.

Tak! Widocznie inni ludzie posiadali dar wpływania dodatnio na te... wyjątkowe dzieci — on jeden tylko nie, on jeden!...

Stłumiwszy westchnienie, ujął cicho za klamkę i wysunął się z pokoju.

— *Junon, dévorée par la jalousie, épiait Jupiter*⁶... — mówiła Francuzka ochryplym głosem, wykrzywiając przy tym swą twarz na kształt maski kłowna — *et Jupiter aimait Jo*⁷...

Zagłębiła się teraz w miłostki Jowisza z całą lubością bulwarówki; po jej ustach igrał od czasu do czasu uśmiech, a ręka machinalnie poprawiała rzadką na czole grzywkę.

Julusiek, trochę znudzony, gonił czasami migające po suficie słoneczne plamy i usiłował zwinąć język w łuk, zwany „klops”. Tylko Marian, zasluchany w słowa Francuzki, ślizgał się wzrokiem po jej piersi, rysującej się dość wyraźnie pod opiętym stanikiem.

Patrzył, oczy mrużył i usta wydymał...

— Chwilkę, panie Wentzel, proszę tylko o krótką chwilkę!...

I Ewelinka powstawszy od fortepianu potrząsnęła głową ubraną w całe pęki loków.

— Gdzie pan uciekasz? Nigdy nie masz czasu... a ja tu sama tak siedzę!...

Ostatnie słowa podkreśliła znacząco powłóczytym spojrzeniem.

³*Attention, sales gamins! Ou je vais vous ficher des claques* (fr.) — Uważajcie, brudne dzieciaki! Albo dam wam klapsa. [przypis edytorski]

⁴*Taisez ous, tas des salauds* (fr.) — spokój, bando łajdaków! [przypis edytorski]

⁵*j'espère, que vous allez vous tenir tranquilles... autrement — je tire* (fr.) — mam nadzieję, że zachowacie spokój... inaczej będę strzelać. [przypis edytorski]

⁶*Junon, dévorée par la jalousie, épiait Jupiter* (fr.) — Junona, pochłonięta zazdrością, śledziła Jowisza. [przypis edytorski]

⁷*et Jupiter aimait Jo* (fr.) — a Jowisz kochał Io. [przypis edytorski]

Pod wpływem tego spojrzenia pan Wentzel pobałdł jeszcze bardziej niż na widok myszy.

O! Gdyby wiedział, że Ewelinka obecnie „marzy” w salonie i fortepian... „gniecie”, jak mówił Julusiek, byłby z pewnością umknął przez kuchnię, choć i tam kucharka witała go niedwuznacznym mrużeniem i dowodzeniem, że „rosół się jej utrząsie w garnku, skoro pana Wentzla bez⁸ kuchnię niesie”...

Lecz pan Wentzel stokroć wolałby już narazić się na gniew kucharki, niż poddawać się magnetycznym spojrzeniom Ewelinki, dopełniającej w ten sposób pensyjnej edukacji i próbującej siły swych wdzięków na nieszczęsnym nauczycielu swych braci.

— Zagram panu Aschera... — wyrzekła, sznurując dość duże usta — przewracaj mi pan kartki...

Pan Wentzel rozpaczliwie zaczął przestępować z nogi na nogę.

— Chcę iść... na pocztę — wyjąkał cichym głosem.

— Poczta nie ucieknie — szeptała panna, przechylając się w łuk dla uwydatnienia wypukłości bioder — a wreszcie, ja proszę!...

Ostatniemu słowu towarzyszyło znów wymowne spojrzenie.

W chorej piersi pana Wentzla serce zabiło gwałtownie, krew uderzyła mu do głowy i czerwonym płomieniem oczy zasłoniła.

Ewelinka uśmiechała się zadowolona. Chciała doświadczyć, czy „powłóczyście” spojrzenie „działa”, i przekonała się, że istotnie jest to dobry lek i nie kosztuje zbyt wiele zachodu.

Lecz, pobudzona w swych doświadczeniach kokieteryjnych, pragnie dalej prowadzić rozpoczęte dzieło.

— Pan mnie unika, panie Wentzel — zaczyna znowu, grając dość fałszywie „nokturno” — pan mnie unika, o! Ja to czuję!...

Pan Wentzel nie śmie zaprzeczyć. Stoi jak słup soli, zaciskając konwulsyjnie pięści. W gardle czuje dławienie, usta mu drżą nerwowo.

Tymczasem dziewczyna przechyla głowę i mrużąc lekko oczy, wpatruje się w swą ofiarę.

— Pan ode mnie ucieka, a ja cierpię!...

„Nokturn” rozplywa się w przyciszonym akordzie. Ewelinka z wdziękiem opiera głowę o pulpit i pozostaje w tej pozycji chwil kilka, żałując, że nie może widzieć siebie samej i ocenić w całej malowniczości sytuacji, w której się znajduje.

Pan Wentzel tymczasem mieni się na twarzy wszystkimi kolorami tęczy.

Boże mój! Ona... przez niego cierpi, a on stoi jak wkuty w dywan, nie mając siły, aby powiedzieć słowo na swoje usprawiedliwienie!...

Ewelinka obserwuje go spod oka.

Cieszy się serdecznie rozpaczą wyrytą na chudej twarzy chłopaka.

Cierpi! Mężczyzna cierpi z jej powodu.

O radości!

Nie wie jednak, jak wybrnąć z tej sytuacji.

Czy, podawszy rękę, zmusić go do ukłęknięcia, czy oddalić się jak „senne zjawisko”, pozostawiając po sobie „szmer jedwabnej szaty”...

Wybiera to drugie, odkładając triumf zupełny na później i zerwawszy się z wdziękiem z taboretu, przebiega salon z szelestem świeżych spódniczek, a odwróciwszy się na progu, rzuca osłupiałemu Wentzlowi dwa słowa:

— Do wieczora!...

Lecz scena ta ma świadka w osobie matki-wdowy, która suwa się jak cień po całym mieszkaniu, udając gorliwie wypełnianie swych obowiązków.

Przed wrytym w ziemię Wentzlem zjawia się teraz nagle surowa, sztywna, pełna godności.

— Co pan tu robisz, panie Wentzel — pyta majestatycznie — proszę się nie zapominać! Nie za-po-mi-nać!...

I odwraca się jakby z jednej sztuki wykuta, owijając nogi nieszczęsnego nauczyciela w fałdy swej długiej szaty.

⁸bez (reg.) — przez. [przypis edytorski]

Pan Wentzel skłania się nisko i cofa się tyłem w stronę przedpokoju. Otwierając, drzwi słyszy brzęk szkła i odwróciwszy się dostrzega Justysię, pokojówkę, strącającą szczotką pogruchotane kinkiety.

— Wszystko przez pana — mruczy pokojówka — szarpnąłeś pan drzwiami, że się we mnie wszystko zatrzęsło...

Pan Wentzel na palcach sunie przez przedpokój.

— Czysto jak zmora, albo hałasuje, albo milczkiem lezie...

Pan Wentzel przy drzwiach prowadzących na schody podnosi zasuwkę i ujmuje klamkę.

Justysia, oparta na szczotce, patrzy z pogardą na jego wytarty surducik i wąskie ramiona.

— To ci mężczyzna! — szepcze pociągając nosem. — Ni do Boga, ni do ludzi...

Pan Wentzel gorączkowo zaczyna zbiegać po schodach.

Tymczasem w pokoju Ewelinki cicho odbywa się scena. Pani Szymczyńska uznaje za stosowne przestrzec córkę przed niebezpieczeństwem, na jakie się naraża, pozostając sam na sam z mężczyzną.

Lecz Ewelinka smaruje sobie nos kremem Simona i pogardliwie wzrusza ramionami.

— Z jakim mężczyzną mnie widziałas? — pyta wydymając usta.

— Z panem Wentzlem!...

— A!...

— No... nie zaprzeczysz temu, że byłaś z nim przed chwilą... w salonie — mówi jękając się matka, której zimna krew Ewelinki i wzdarcie miny prawie od chwili urodzenia córki imponują i pewność siebie odbierają.

Ewelinka teraz pudrem Simona bieli się na potęgę.

— Byłam... — odpowiada wreszcie — byłam, ale taki pan Wentzel przecież się nie liczy...

— Przecież jest mężczyzną...

Ewelinka spojrzała na matkę z litością.

— Mężczyzna?... To nędzna imitacja, nie żaden mężczyzna!...

I poszła, odwijając z cienkich obłonek mydło Simona, mające własność „udelikatniania naskórka”.

„I ftobie jednym całą naszą nadzieję synu najmilszego, com cię własnymi piersiami wykarmiła i sboieniem sercowym wyhodowała”...

Pan Wentzel rękę przesunął po oczach, bo jakaś mgła wilgotna źrenice mu przysłaniać poczęła. Ten kawałek grubego, ordynarnego papieru, zakreślony krzywym i niewprawnym pismem, szarpie mu duszę na kawałki.

Odebrał przed chwilą z poczty ten list od matki, ubogiej sklepikarki w małej podgórskiej mieścinie, gdzie i on spędził swe dziecinne lata. Gdy listy przychodziły dawniej do domu pani Szymczyńskiej, „wyjątkowe” dzieci na dobre bawiły się „koszlonami”, z jakich złożony był adres.

Od pewnego czasu więc pan Wentzel odbiera listy od matki z biura pocztowego i siada w małym ogródku, otaczającym gmach pocztowy, dla⁹ odczytania i odcyfrowania hieroglifów, z jakich się zwykle listy te składają.

I teraz siedzi na wilgotnej ławce, tuż pod krzakiem bzu, który dopiero pączki wypuszczać zaczyna.

Dokoła kilka chudych drzew wznosi swe bezlistne gałęzie, pies jakiś błąka się po trawnikach, grzebiąc łapami w czarnej ziemi, poprzecinanej wąskimi paskami zieloności.

W powietrzu unosi się ciepła wilgoć, która piersi smutkiem tłoczy i moc wspomnień nasuwa. Pan Wentzel raz jeszcze powoli list przeczytał, po czym, pochyliwszy na piersi głowę, myśleć począł.

W nim jednym całą nadzieją!

⁹dla (daw.) — w celu. [przypis edytorski]

Cała nadzieja tych dwojga starców, zgiętych od pracy, nędzy i smutku! Jak w tęczę, tak patrzą w niego ci rodzice, którzy — odmawiając sobie kawałka mięsa, chwili spoczynku — do szkół go wysłali i teraz czekają plonów z tej mozolnej, ciężkiej pracy.

On wie, on to czuje, że jemu ustawać w pracy nie wolno, że wszystko, co znosi w domu pani Szymczyńskiej, nadal znosić powinien, bo ma kąt, w którym stoi łóżko jego, ma dach nad głową, bo łyżka strawy, która mu nieraz przez ściśnięte gardło przejść nie może — trzyma go przy życiu — jego i tamtych dwoje...

I widzi ich w czarnej jamie sklepiu pomiędzy workami kartofli, beczką nafty, pękami drzazg, widzi ich schylane postacie, słyszy kaszel ojca, stękanie matki, woń stęchlizny i wilgoci owiewa dokoła...

Biedni! Biedni starzy!...

Lecz on? On sam, czyż nie cierpi, czyż te upokorzenia, te tortury, które codziennie z Julusiem i Marianem przebywa, te noce bezsenne spędzone nad książką, te ranki, wśród których znużone ciało domaga się chwili snu, te zaparcia się wszelkich uciech młodości, uśmiechów, swobodniejszej myśli!... czyż to się liczyć daje?

Zresztą dość spojrzeć na niego, gdy tak siedzi, nędzny i blady w jasnych promieniach wiosennego słońca. Twarz ma żółtawą z zielonawym, prawie trupim na skroniach odcieniem, piersi wklęsłe, plecy wypukłe, nogi wychudłe.

Jest brzydki, nędzny, śmieszny — wie o tym, czuje to i jest bardzo nieszczęśliwym.

A jeszcze w dodatku serce mu bije gwałtownie i coś się przed nim majaczy, jakiś uśmiech dziewczyny, jakiś akord „nokturna”, zasłyszanego przed chwilą...

Wszystko to gnębi go i dręczy nad wyraz.

Ciasna klatka piersiowa nie może pomieścić tylu wrażeń, które razem z ciepłą wonią wiosenną do jego piersi się cisną.

Coś go dławi w gardle, oddech mu tamuje. O! Ta wiosna!... Czyż ona istnieć powinna dla takich jak pan Wentzel nędzarzy?!...

Pies, płaczący się po trawniku, zbliżył się teraz do ławki i przed nogami Wentzla przesuwać się począł.

Był tak jak Wentzel nędzny, wychudły i oddychał ciężko.

Chłopiec nachylił się nad zwierzęciem i brudne jego kudły delikatnie gładzić począł.

Bezdomne zwierzę oparło łeb o kolano człowieka, wpatrzyło się w bladą twarz, pochyloną nad nim i nagle przeciągle zawyło.

Wówczas z ciemnych, smutnych oczów pana Wentzla stoczyły się dwie wielkie łzy...

Gdy „wyjątkowe” dzieci weszły do salonu wraz ze swym nauczycielem, kilkanaście osób na wzór manekinów zapelniało fotele i kozetki. Był to *jour fixe*¹⁰ i pani Szymczyńska uważała by sobie za straszne uchybienie, gdyby przynajmniej ze sześć brzydkich jak noc panien, także ilość wychudłych mężczyzn i odpowiednia liczba mam nie wynudziła się wśród ścian jej salonu.

Pan Wentzel wprowadzał zwykle swych uczniów, drżąc na myśl wystawienia na światło licznych kandelabrowł wyplamionego tużurka¹¹ i gumowych kołnierzyków.

Była to dla niego najcięższa chwila w całym tygodniu.

Zwykle Marian i Julusiek ukloniwszy się gościom zwracali się z dowcipnymi uwagami w stronę swego kozła ofiarnego.

Lecz dziś pan Wentzel był stokroć więcej zmieszany niż zwykle. List matki, poranne przejście z panią domu, a wreszcie scena z Ewelinką odebrały mu resztę przytomności.

Ewelinka w gronie panien rozpoczęła właśnie zajmującą rozmowę o emancypacji kobiet, pragnąc ją oprzeć na całkiem nowym gruncie, bo na darwinowskiej przemianie gatunków. Ewelinka lubiła popisywać się ze swą „głęboką wiedzą”, nie zaniehbując przy tym powłóczyistych spojrzeń.

Wypróbowała je rano na panu Wentzlu, była więc pewna swego i gradem ognistych spojrzeń obsypywała młodziuchnego blondynka, który jak wiśnia rumienił się i obrywał guziki u rękawiczek. Pan Wentzel, wciśnięty w kąt, stał opierając się plecami o ścianę.

¹⁰*jour fixe* (fr.) — przyjęcie. [przypis edytorski]

¹¹*tużurek* — dwurzędowy, ciemny surdut popularny na przełomie XIX i XX w. [przypis edytorski]

Ponad nim płonęły świece kinkietu i oblewały go złotawym blaskiem i kroplami steryny. Marian zajął jedno z lepszych miejsc, tuż obok dobrze wydekoltowanej mężatki, i włożywszy ręce w kieszenie, patrzył i usta wydymał.

Julusiek zatrzymał się chwilę przed panem Wentzlem.

— Cóż pan tak tkwi koło ściany? Nie może pan usiąść?...

Pan Wentzel obejrzał się za fotelem, czując, że parę osób zwraca na niego uwagę.

W pobliżu właśnie stał wspaniały fotel, obrzucony makatą.

Pan Wentzel osunął się na niego machinalnie.

Julusiek wzruszył ramionami.

— Na fotelu? — zaskrzeczał podskakując na jednej nodze — jak jaki obywatel?... Nie możesz pan na krześle?...

Osoby siedzące bliżej zaczęły się uśmiechać.

Julusiek uczył, że odnosi sukces, i podniósł głowę z prawdziwym triumfem.

Pan Wentzel zacisnął usta i nie śmiał oczów¹² oderwać od ziemi.

Wniesiono herbatę.

Julusiek porwał z tacy filiżankę i zbliżył się z nią do nauczyciela.

— Napij się pan herbaty! — mówił, pakując się na kolana Wentzlowi — wyglądasz pan jak śmierć angielska... pij pan...

I potracił filiżankę, wylewając gorący płyn na ręce i tużurek Wentzla.

— Potem powiedzą, żeś się pan u nas zagłodził... — dodał, wykrzywiając się jak stary pajac.

Pan Wentzel ujął filiżankę i ogładał się za łyżeczką.

— Czego pan szuka?

— Łyżeczki!

— A to po co?

— Zamieszać!

— A nie możesz pan palcem?

I zląwszy z kolan nauczyciela, „wyjątkowe” dziecię zmieszało się z tłumem gości, depcząc po jedwabnych trenach dam i lakierkach mężczyzn.

Pan Wentzel pozostał w swoim kąciku z filiżanką herbaty w ręku.

Przed nim jakaś tęga brunetka prezentowała swą pełną szyję w oświetleniu płynącym z góry. Jej obnażone ramiona, fałda ciała na karku, fałda pełna tajemniczego cienia, mieszała pana Wentzla i napełniała jakąś bojaźnią. Sam, nędzny i chudy, lękał się dobrze rozwiniętego kobiecego ciała.

Zapach wydzielający się z sukien brunetki odurzał go do reszty.

Przy tym głos Ewelinki, donośny, trochę nosowy, jej śmiech nerwowy, nadto dobrze „ułożonej” panny, wstrząsał mu serce.

Uczuł się bliskim zemdlenia.

Nagle z tego pólenu zbudził go skrzeczący głos Juluśka:

— Czyś pan kiedy kochał?

To wyjątkowe chłopię w ten sposób interpelowało rumianego blondynka, siedzącego obok Ewelinki. Mimo woli rozmowy ucichły. Julusiek miał własność śmieszenia całego towarzystwa, oczekiwano na coś bardzo dowcipnego.

Malec czuł się panem sytuacji.

Potrząsnął złotą czupryną i rozstawił szeroko nogi.

— No! Powiedz pan, czyś już się kochał?...

— Nie... — wybąknął blondynek — jestem jeszcze za młody...

Julusiek szeroko otworzył oczy.

— Phi! — skrzeknął — a pan Wentzel młodszy od pana, a już się kocha.

Wszystkie oczy zwróciły się ku nauczycielowi, który otworzył usta, jakby chcąc coś powiedzieć, lecz głosu mu zabrakło.

— Ja bym panu powiedział, w kim — ciągnął dalej Julusiek — ale uprzedzam pana, że oni mnie zaraz za drzwi wyrzucą, bo prawdę powiem. O! Jewelinka i pan Wentzel to się mają ku sobie...

Purpurą oblała się twarz Ewelinki.

¹²oczów — dziś popr. forma D.lm: oczu. [przypis edytorski]

— Panie Wentzel! — zawołała, drżąc cała ze złości — proszę Julka wyprowadzić i zamknąć się z nim w dzieciennym pokoju...

Pan Wentzel podniósł się, czepiając poręczy fotela. Żyły mu na skroniach nabiegły, wyglądał jak pijany.

Chciał podejść do Juluśka, lecz malec szedł już ku drzwiom, dumny, zadowolony z uczynionego wrażenia, mrucząc ciągle:

— A co? Nie mówiłem, że gdy powiem prawdę, to mnie za drzwi wyrzucą?!

W dzieciennym pokoju pali się niewielka lampa, przysłonięta zielonym abażurem. Juliusiek i Marian, zdaje się, śpią spokojnie w swych łóżkach, ponakrywanych stosem kołder i kolderek.

Koło stołu siedzi pan Wentzel, kurcząc pod stołem nogi w zaplamionych atramentem skarpetkach. Przed nim leżą nożyczki, gruba igła, motek nici i kilka guzików. Pan Wentzel zabrał się do łatania swej codziennej kurtki i jakoś mu idzie niesporo. Kłuje się w palce, ścięgi daje monstrualnych rozmiarów! Miał zamiar sprawić sobie nową kurtkę na wiosnę, ale namyślił się — zrobi inaczej. Pieniądze te pošle rodzicom, właśnie matka pisała, że sklepik nic nie przynosi, ojciec coraz słabszy...

Pan Wentzel matce odpisał, guldeny w list włożył i teraz, szyjąc, spogląda z rozrzewnieniem na kopertę, która za parę dni w szerniałych od pracy rękach matki będzie.

I wśród tej ciszy nocnej w wyobraźni swej widzi pomarszczoną twarz ojca, wybladłe lica matki, którzy z radością się nad listem pochylą i sylabizować literę po literze będą.

Biedni! Biedni starzy!...

Pan Wentzel prawie uśmiechać się zaczyna. Na chwilę zapomina o swej nędzy, ciesząc się, że radość innym sprawia.

Nagle jakby na komendę z dzieciennych łóżek podnoszą się dwie rozczochrane głowy i rozlega się wrzask, od którego pan Wentzel drżeć i blednąć poczyna:

Hopsztynder! Madaliński!

Fiuta!... z kopyta...

Szara, ciach, ciach!... tańczy sobie

Z Barabaszem mazura!

Hej kolęda!... kolęda!...

Rodzina, Pieniądz

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. 99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/menazeria-ludzka-koziol-ofiarny>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, *Menazeria ludzka*, Kantor Wydawniczy SAWW, Poznań 1994.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Pauliny Choromańskiej. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Paweł Kozioł, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.